

Angielski sen – 2

13 września 2018

Zupełnie przypadkiem odkryłem, że w moje poukładane życie emigranta, wkradła się pewna stała, rutynowa czynność wykonywana prawie codziennie. Jeżdżąc na nocną zmianę, jeszcze zanim dotrę do zakładu, dwie godziny przesiaduję na jednej i tej samej ławeczce stojącej na brzegu, niewielkiego parkowego stawu. Zakładam słuchawki i przyswajam angielski z tekstów słuchanych piosenek. Gdy pojawi się jakieś nieznane mi sformułowanie, wyciągam translatora i już: I think, I know – rozumiem i wiem – to akurat tytuł piosenki Iana Gillana.



Dojazdy do pracy od samego początku stanowiły dosyć ciekawy wątek korespondencji. Zawsze wiązały się z tym jakieś ciekawostki i problemy.

Zamieszkałem w Luton, chociaż firma, w której pracuję mieści się trzydzieści kilometrów dalej. Wybór był jednak przemyślany, a powody dwa. Niskie, jak na Anglię, ceny kwaterunku, ale kluczowe było to, że większość pracowników też mieszka w tym mieście, a niektórzy mają nawet samochody. Koleżeńska stawka za podwózkę do roboty i z powrotem wynosi 4 funty.

Alternatywą była komunikacja autobusowa. Z przesiadką w St.

Albans. Ale z powodu specyfiki brytyjskiego transportu publicznego, opcja bardzo droga i przy tym ryzykowna. Bilet w jedną stronę kosztuje ponad 9 funtów, do tego dochodzi niepewność, czy w ogóle przyjedzie. Raz czy dwa nie miałem jednak wyjścia, bo nawet na szóstą nikogo nie było. 18 funciaków za bilety w obie strony, miałem wtedy 7,50 na godzinę. Sam dojazd do pracy pożarł dwie i pół godziny z mojej dniówki.

Kłopoty zaczęły się już podczas pierwszego tygodnia. Trening, czyli szkolenie pracownika na jego nowym stanowisku. Pracuje on wtedy normalnie, tyle że w innych godzinach i pod okiem instruktorów. Trening trwał od poniedziałku, od piątku, od ósmej rano do szesnastej. I tu zaczęły się pierwsze schody. Nikt o tej porze nie zaczynał pracy. Na szóstą tak, na dziewiątą też, ale na ósmą – tylko nowi, czyli szkolenie.

Zrywałem się więc o 4,20 rano, kolega jadący na szóstą zabiera mnie, a ja czekałem do ósmej w firmowej kantynie.

Pracownicy zatrudnieni przez agencję, zwłaszcza ci z dziennej zmiany, nigdy nie wiedzą jaki grafik będą mieli w nadchodzącym tygodniu. Jakie wypadną dni wolne, czy będą razem (poniedziałek, wtorek) czy – jak zazwyczaj – rozrzuca (niedziela, czwartek). Nie wiedzieli też, czy będą pracować od 6,00 do 14,00 czy od 14,00 do 22.00 – tu też nie było reguły. Agencja mogła wrzucać pracownikowi kilka tygodni poranną zmianę, by znienacka zamienić na tydzień popołudniowej.

Agencyjny tydzień zaczyna się w niedzielę, a grafik wieszają dopiero w piątek. Dlatego trudno umawiać wcześniej transport, jeśli nie wiadomo na którą zmianę pracujemy i kiedy są wolne dni. Dziesiątki razy przemierzałem wszerz i wzdłuż wszystkie te magazyny zaczepiałem ludzi, szukając kogoś, kto ma podobny rozkład pracy jak ja.

Dostosowałem się do tej zwariowanej improwizacji i zazwyczaj „jakoś” docierałem na swoje stanowisko pracy.

Tydzień nauki zleciał błyskawicznie. Wbili na do łbów, że najważniejsze jest bezpieczeństwo pracy, ostrożność, nauczono „Health and Safety”, czyli zasad lokalnego BHP, pokazywali zdjęcia wypadków i ich skutki, gdy niefrasobliwy pracownik zignorował te święte zasady firmy i nie dość, że zniszczył towar (pół biedy – towar ubezpieczony), uszkodził siebie (też pół biedy – firma nie zapłaci za leczenie, nie da odszkodowania, jeśli późniejsze dochodzenie, z uważnym przeglądaniem nagrań z kamer przemysłowych, wykaże, że pracownik nie zastosował się do zasad „H&S”). Problemem jest natomiast to, że zanim przesuną kogoś na jego miejsce, tracą całe mnóstwo roboczości. A tak właśnie robią, jeśli z jakiegokolwiek powodu odpadnie np. pracownik z chillera (chłodnia), natychmiast imiennie wywołują kogoś z drugiej hali – ambientu – żeby go zastąpił. Ten sam problem pojawia się wtedy na ambience, wywołają wtedy z produce. Jeszcze chwilę biegają jak w ukropie, by po chwili zapomnieć, o co z tym ich bieganiem chodziło i skupiają się na poszukiwaniu pracownika, którego moment wcześniej wysłali na inną halę,

Zasady „Health&Safety” są tak ważne, że każdego dnia, po kilkadziesiąt razy, powołując się na życie i zdrowie, demonstrowano nam w jaki sposób wykonywać swoje obowiązki, jak bezpiecznie poruszać się po magazynach itp.

Najważniejszy mówili, jest kręgosłup. W sali stał taki demonstracyjny szkielet, na którym instruktor pokazywał co się dzieje, jeśli nieprawidłowo dźwigniemy paletę. Mieliśmy potem egzamin praktyczny z tej czynności. Paletę należy chwycić z jednego boku i nie odrywając drugiego od podłoża ustawić do pozycji pionowej. Tak przygotowaną, można przepchnąć kawałek, by poukładać w słupki w konkretnym miejscu. To także trzeba zrobić zgodnie z zasadami „H&S”. Górny brzeg, pod lekkim kątem, opieramy o najwyżej leżącą paletę, kucając chwytamy za dolną krawędź i nie dźwigając, ale sunąc układamy nową paletę na samej górze.

Po całej tej treningowej procedurze zacząłem właściwą pracę,

przypadła moja kolej układania palet. Było w tym dniu bardzo dużo roboty i wszyscy chodzili poirytowani. Mając w pamięci wyryte motto zakładu, że bezpieczeństwo, a kręgosłup przede wszystkim, trzymałem się wyuczonych zasad. Akurat przechodził manager. Gdy zobaczył co robię, zaczął się drzeć, żebym się nie opierdalał, bo palet ze trzysta rozrzuconych, a jeśli będę w ten sposób układał, to zajmie mi to tydzień. Ale tak mnie uczyli na treningu „Health and Safety” zwróciłem delikatnie uwagę. – Zapomnij o tym, zapomnij o treningu – powiedział – jedna paleta w jedną łapę, druga w drugą, ciągnij do słupka i wrzucaj z rozmachu. Na odchodne spojrzał jeszcze na mnie i kiwając głową połazł do swojego office’u.

Z czasem, już na nocnej zmianie, wygrałem z nimi tę wojnę paletową i już nawet ich nie dotykam. Ale to temat na osobny felieton, bo tu dochodzi jeszcze postać tajemniczego Mr Skarpety. Pracy na terenie Wielkiej Brytanii jest bardzo dużo. Pieniądzy na jej wykonanie też jest pod dostatkiem. Ponieważ jednak nie każda stawka i nie każda praca zadowoli kieszeń przeciętnego Wyspiarza, zbawieniem okazała się nadciągająca fala zagranicznej siły roboczej. W tym kilku milionów Polaków.

Zazwyczaj najszybciej można było znaleźć taką pracę, którą sami Anglicy niechętnie wykonywali. Te gorsze zajęcia, były nawet lepiej wynagradzane, dlatego cieszyły się popularnością, wśród mniej wybrednych przybyszów. Odporni na smród, chłód i 12 godzinny dzień pracy, cieszyli się z każdego payslipa (taki pasek wypłaty).

Przed wejściem królestwa do Unii, zarówno standardy pracy jak i płace stały na w miarę wysokim poziomie. Pojawiły się więc na Wyspach spragnione pracy ręce. Wiele osób zdecydowało się porzucić swoje domostwa, poświęcić rodziny, zdrowie, a czasami i życie, by za sowitą opłatę złożyć najwyższą ofiarę na ołtarzu kapitalizmu: „funt ciała, duszy, miłości czy rodziny”. Nierzadko kończyło się to tragicznie. Rodziny się rozpadały, coraz częściej zamiast sięgnąć raj, przybysze lądowali na ulicy. Niektórzy wciąż na niej tkwią, plując sobie w brodę, że

uwierzyli w tę wartą „funta kłaków” bajeczkę o czekającym tu szczęściu i dobrobycie.

Po Zjednoczeniu Europy i częściowym otwarciu rynku pracy w tym jądrze światowego imperializmu wróciło stare, kolonialne myślenie: Jak najniższym kosztem, maksymalnie wyeksploatować. „Biały Baba” ma doświadczenie i wie jak zorganizować „żywą siłę pracującą”, nie uszczuplając zaledwie z królewskiej kabzy. Oczywiście, dotyczy to pracowników, masowo wówczas przyjeżdżających na Wyspy w poszukiwaniu materialnego spełnienia.

Agencje pracy – firmy, które zaopatrują inne firmy w pracowników, a potem zabierają lwią część ich zarobków. Oczywiście zarobków pracowników. W zależności od zakładu i obowiązujących w nim stawek, agencje pobierają nieproporcjonalnie wysokie prowizje przez cały okres jego pracy.

Technicznie wygląda to tak, firma oferuje wysokie zarobki, ale mimo wszystko ma kłopoty z rekrutacją ludzi. Zadanie zleca więc agencji. Ponieważ do tych placówek kierują swoje pierwsze kroki prawie wszyscy imigranci ekonomiczni. Mając taką bazę pełną nowo przybyłych, wykwalifikowanych lub nie, ale nie bojących się roboty ludzi, nie mają problemu, by ich dostarczyć zleceniodawcy. Jeśli standardem jest, że zakład swoim pracownikom kontraktowym (umowa bezpośrednia) 14 funtów na godzinę, to agencja dostaje taką samą stawkę za godzinę pracy człowieka, którego firmie dostarczyli.

Ten pracując na tym samym stanowisku, wykonując dokładnie te same zadania co pracownicy kontraktowi i dostaje 7.83 na godzinę, mimo, że firma i tak wypłaca agencji 14. Ciężko jest potem wyrwać się ze szponów tego pośrednika i bywa, że ludzie po kilkanaście lat dostają najniższą stawkę, podczas gdy równorzędni pracownicy chwalą hojność pracodawcy. Tylko mieli trochę szczęścia i udało się im znaleźć pracę, zanim agencja znalazła ich.

Zapomniałbym dokończyć historię o wspomnianej na początku tekstu ławeczki. Przeprowadziłem się z Luton do Borehamwood, znacznie bliżej miejsca pracy, jest nawet bezpośredni autobus i jeden kolega dysponujący autem, który również pracuje na nocną zmianę. Dwie godziny na tej ławeczce siedzę tylko dlatego, że kolega zaczyna pracę o 20.00, ja o 22.00, a ostatni autobus mam o 19.16.

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Źródło: Trybuna.info